



Kolekcja
Emila Kornasia

Modlin, Marzec 1926.

KADET

CZASOPISMO KADETÓW KORPUSU KADETÓW Nr 2 W MODLINIE.

T R E Ś Ć :

1. Dzień Zmartwychwstania.
 2. O potrzebie armji dla państwa.
 3. Korpus a Szkoły Oficerskie.
 4. Zagadnienia artylerji przeciwlotniczej (ciąg dalszy).
 5. Poezje: „Anioł Pański”. — „Słońce sypie...” — „Przybądź poezjo”. — „Ku sławie”.
 6. Leśniczy Knorr (nowela). — Pro patria. — Mój sen. — Robienie humoru.
 7. Pobudka wstać!
 8. Humor: Złośliwy. — U wróżki. — Zimna krew. — Po wykładach. — Na lekcji. — Pech. — Przyzwyczaj się. — Szablą i pałaszem.
 9. Po zawodach sportowych.
 10. Odpowiedzi Redakcji.
-
-

„Swoboda w myśleniu, karność w działaniu”.
Stanisław Szczepanowski.

DZIEŃ ZMARTWYCHWSTANIA.

*Spizowych serc modlitwa czysta
Na wszystkie świata biegnie strony
To w Wielki Dzień wołają dzwony
Ku wiecznej sławie Zbawcy Chrysta.*

*Zabit, a potem w grób złożony
Swą mocą bożą znów zmartwychwstał.
Przeto Mu chwala jest wieczysta
Bo wszystkim naród odkupiony.*

*Stuletni dziad zatargał sznurem
Chyli się cichy lud w pokorze
W obliczu Świętej łaski bożej.*

*A z głębi dusz pieśń zgodnym chórem
Wybiega i w przestworzu buja
Skrzydłami ptaka — Alleluja!*

Kdt. Janusz Klimontowicz.

O POTRZEBIE ARMJI DLA PAŃSTWA.

Każde państwo wolne i niezależne musi mieć swoją armię, bo któżby na wypadek wojny strzegł jego granic, oraz bronił życia i mienia jego obywateli. Obowiązek odbywania służby wojskowej jest w państwie rzeczą tak naturalną, jak na przykład płacenie podatków. Żadnemu też obywatelowi, do służby tej zdolnemu, uchylać się od niej nie wolno. Takie pojęcie jest właściwie najprostszym rozwiązaniem sprawy. Natura jednak człowieka sprawia, że pragnie on zawsze wnikać w przyczyny, dany fakt powodujące. W tym też wypadku nasuwa się pytanie, czy niemożnaby uniknąć potrzeby utrzymania wojska w Państwie przez ustanowienie na przykład wielkiego i trwałego przedewszystkiem trybunału rozjemczego, obejmującego wszystkie narody kuli ziemskiej. Myśl taka powstała już po wojnie światowej, gdy wszystkie państwa, udział w niej biorące, zapragnęły powszechnego pokoju, aby naprawić zło przez krwawą zawieruchę wyrządzone.

Jednym z największych zwolenników idei „pacyfizmu”, był, zmarły w 1923 roku, prezydent Stanów Zjednoczonych — Woodrow Wilson. On to przyczynił się najwięcej do powstania Ligi Narodów i projektu powszechnego rozbrojenia. Jednakże idea ta, szlachetna w swej treści, całkowicie przeprowadzić się nie dała. Państwa europejskie powszechnie przystały na rozbrojenie, nie przestając jednak pokryjому doskonalić i mnożyć swych środków wojennych. Mimo bowiem istnienia Ligi Narodów, tego trybunału, mającego rozstrzygać pokojowo wszelkie zatargi między państwami, znajdując się na kuli ziemskiej potężne mocarstwa, których żadna siła do przyjęcia wyroku Ligi zmusić nie zdoła. Inne więc państwa muszą być przygotowane na ewentualną napaść ze strony takiego przeciwnika i dla tego dążą wszelkimi siłami do posiadania środków dla jej odparcia. Wojny wszelkie są rzeczą nieuniknioną i nieodmienną, jak na przykład choroby i śmierć u ludzi. Aby ich uniknąć, trzeba by całkowicie zmienić naturę ludzką i usunąć niskie, zaborcze instynkta wśród nich panujące, a jak dotąd jest to rzeczą niemożliwą.

Przejdźmy teraz do sprawy koniecznego istnienia armji w Polsce.

Młode nasze państwo, znajdując się pomiędzy dwoma swemi odwiecznymi wrogami, musi mieć środki do obrony przeciw nim.

Nie można się bowiem łudzić, że Niemcy lub Sowiety nie skorzystają z pierwszej sposobności, by sobie podać ręce dla łatwiejszego wspólnego pokonania Polski. Naród polski musi wobec tego mieć siłę, a siłą tą jest jego karna i dyscyplinowana armja. W obecnych stosunkach politycznych każde państwo musi swoje zdanie poprzeć siłą, bo

ze zdaniem słabego nikt się nie liczy. Słuszną niestety okazje się typowa niemiecka maksyma: „Dem Bittenden gibt man nichts, dem Drohenden etwas und dem Gewaltigen alles“.

Przedstawiciele naszego państwa, biorący udział w obradach Ligi Narodów, muszą mieć pewność, że warunki i zdania przez nich wygłaszane są poparte silną, dobrze wyszkoloną armją. Obecność przedstawicieli państw obcych na zeszłorocznych wielkich manewrach, pozwoliły tym państwom, poznać, jaką siłę i wartość bojową armja nasza przedstawia. Doskonała opinja, którą sobie ona wyrobiła, może się w wielkiej mierze przyczynić do przyznania Polsce miejsca w Radzie Ligi Narodów.

Państwu naszemu wojsko jest potrzebne tylko do obrony interesów narodowych, a nie do napadów na kogokolwiek. Polska nigdy wojen zaborczych nie prowadziła, a wszelkie wojny nie przez nią, a przez jej sąsiadów wywoływane były. Naród nasz z natury rzeczy był rolniczym, ale jeśli nadeszła potrzeba, umiał dokonywać wielkich, bohaterskich czynów i przelewać krew w imię miłości ojczyzny.— Wojsko jest również w państwie potrzebne dla podtrzymania powagi rządu.

W dobie powojennej, po krwawej rewolucji w Rosji, pojawili się we wszystkich państwach, a także i w Polsce, ludzie, głoszący przewrotowe hasła i poglądy. Dążyli oni do wywołania w państwie zamętu i anarchji, by doprowadziwszy je w ten sposób do ruiny, zagarnąć i poddać pod panowanie „anonimowego mocarstwa“. Za podstawę ładu i porządku, za filar, na którym gmach państwa się opierał, uważali oni wojsko i dlatego przedewszystkiem dążyli do osłabienia zaufania pokładanego w nim przez społeczeństwo. Zaczęli rozsiewać poglądy, że armja jest narodowi niepotrzebna, że niepotrzebne jest posłuszeństwo w wojsku, że szeregowiec równy jest oficerowi. Jednym słowem chcieli wprowadzić w armji nieład, zamieszanie, chcieli pozbawić państwo jego jedynej pewnej ostoi. Zamiary ich spełzły na niczem. Duch polskiego żołnierza był wyższy nad ich niecne, zdradzieckie i podle knowania. Siła moralna armji została nienaruszoną i państwo mogło się nadal spokojnie rozwijać.

Wojsko, będąc na służbie ojczyzny, na służbie najzaszczytniejszej, bo polegającej na ciągłej gotowości przelania za nią krwi, nie dąży do uzyskania jakichś przywilejów lub praw nadzwyczajnych. Przeciwnie, musi być nawet pewnych przywilejów pozbawione, jak naprzykład udziału w życiu politycznym, a to dla dobra tak wojska jak i pozostałego społeczeństwa. Armja bowiem musi być ramieniem rządu, w którym on swoją wolę przeprowadza. Nie wolno jej zarządzeń swego państwowego zwierzchnika krytykować, musi się z całkowitem zaufaniem do jego działalności odnosić.— Gdyby dopuścić do polityki

w wojsku, łatwo zrozumiemy, że wnetby upadła zasada karności skutkiem np. różnicy zdań przełożonego i podwładnego.

Obecny ustrój państwa gwarantuje, że wojsko nigdy na szkodę społeczeństwa użyte nie będzie, bo władzę ustawodawczą dźrzy w swym ręku sejm, złożony z przedstawicieli całego narodu, a władzę wykonawczą ministrowie, przez sejm, czyli wolę społeczeństwa wybrani,

Jeszcze jeden rzut oka na dodatni wpływ służby wojskowej w doskonaleniu charakteru jednostek. Wojsko podnosi w żołnierzu przez ciągle ćwiczenia zdrowie i tężyznę. Pozatem wyrabia takie korzystne cechy, jak karność, posłuszeństwo, porządek, punktualność, poczucie obowiązku, solidarność i wiele innych zalet, tak w życiu wszystkim, a przedewszystkiem nam Polakom, potrzebnych.

Wszystko to przemawia za koniecznością istnienia w naszym państwie karnej, dyscyplinowanej i przedewszystkiem moralnie silnej armji, zaprzysiężonej sejmowi polskiemu i Ojczyźnie.

Kdt. Lubiński Henryk.

KORPUS, A SZKOŁY OFICERSKIE.

Już cztery razy odbyła się w Korpusie matura. Znaczny procent abiturjentów poszedł do szkół oficerskich, aby po kilku latach powiększyć korpusy oficerskie. Obliczywszy według statystyki przekonamy się, że do szkoły oficerskiej: piechoty poszło 1% maturzystów, do kawalerji 4%, artylerji 45%, inżynjerji 16%, lotnictwa 2% i marynarki 2%. Reszta (29%) poszła do „cywila”. Z tego widać, że największą popularnością wśród nas cieszy się artylerja, najmniejszą piechota. Być może, że wypływa to stąd, że kadeci nie poznają dokładnie każdej broni. Przychodzi do Korpusu materiał b. dobry. Wszyscy garną się z zapałem do wojska, chcąc służyć Ojczyźnie nie w urzędach cywilnych lecz na polu chwały. Korpus ma za zadanie dać pewne zasady niezbędne dla każdego obywatela, szczególnie zaś oficera, któryby mógł pracować z pożytkiem dla Polski.

By dobrze pracować dla ojczyzny, należy wypełnić bardzo ważny warunek: nie minąć się z powołaniem. To też jednym z zadań Korpusu powinno być zapoznanie kadetów z poszczególnymi rodzajami broni. Jednak w zupełności zadania tego Korpus spełnić nie jest w stanie. Dokładniej daje nam poznać tylko piechotę i artylerję.

Jedynie czas spędzony w obozach letnich zapoznaje nas bliżej ze służbą w piechocie. Zwłaszcza nocne ćwiczenia zajmują wszystkich a dzieje się to dla tego, że warunki podczas nich są zbliżone do warunków panujących na froncie. Sądzić jednak należy, że jeszcze

większą rolę odegrałoby następujące ćwiczenie. Kompanje wychodzą z Korpusu względnie obozu, wieczorem jednego dnia by powrócić doń dopiero na dzień trzeci lub czwarty. Ćwiczenie to z nieprzyjacielem pozorującym byłoby połączeniem całego kursu służby polowej, mieszczącym w sobie marsze podrózne, bojowe, nocne, marsz zbliżania, natarcie, szturm, odwrót, ubezpieczenia i t. d. i t. d. i wpłynęłoby niewątpliwie dodatnio na kadetów. Wróciliby zeń zmęczeni ale naprawdę zapoznani z walką piechoty.

Przerabianie samo poszczególnych działów służby polowej prędko znudzi i odstręczy raczej kadetów od służby w piechocie, którzyby mogli naprawdę dojść do przekonania, że piechota jest królową broni.

Tymczasem do tego co nam Korpus dać nie może, powinniśmy dążyć własnymi siłami. Książki wojskowe czytane racjonalnie i w dużej ilości mogą dać ogólne pojęcie o broniach. Ale jest droga jeszcze lepsza.

Drogą tą jest „kółko samokształcenia w wiedzy wojskowej”, które założone u nas w zeszłym roku upadło, nic nie zrobiwszy, ale które my wskrzesić możemy i powinniśmy.

Kdt. Jerzy Rekner.



ZAGADNIENIE ARTYLERJI PRZECIWLOTNICZEJ.

(Dokończenie).

Czynione próby skonstruowania takich przyrządów dały liche wyniki, jak np. przyrząd Brocqus (elektryczny, bardzo delikatny i ogromnie komplikujący celowniki działa). Jednym z zasadniczych warunków skutecznego strzelania jest uwzględnianie poprawek na wiatr, który, jak wiemy, w różnych poziomach ma różną prędkość i kierunek. W tym celu każdy odcinek musi posiadać stację meteorologiczną, dostarczającą pewnych danych, dotyczących się zmian atmosferycznych. Wogóle cały ten dział balistyki t. zw. kosmicznej, t. j. nauki traktującej o locie pocisku wystrzelonego na wielką wysokość, jest bezspornie najtrudniejszym z działów tej nauki.

Jeszcze jedną trudność nastęrcza obserwacja strzałów. Utrudniają ją warunki atmosferyczne, jak np. zachmurzenie, mgła i t. d. i duży rozrzut pionowy, wynoszący blisko 1800 m. Przy jednoczesnym zaś strzelaniu kilku oddziałów, obserwacja staje się prawie niemożliwą, gdyż wobec wielkiej ilości rozprysków trudno zorientować się, które rozpryski odpowiadają strzałom danego oddziału. Skutkiem tak skomplikowanych obliczeń elementów strzału i trudności obserwacji, ogień artylerji przeciwlotniczej musi być zawczasu starannie przygotowany, ażeby móc w każdej chwili stworzyć na danym odcinku pas ognia zaporowego.

Lecz największą trudność przedstawia strzelanie nocne. Wymaga ono bowiem ścisłego współdziałania artylerji przeciwlotniczej z lotnictwem własnym i oddziałami reflektorów i aparatów podsłuchowych. Reflektory użyte do tego celu mają zazwyczaj średnicę od 90—200 cm. Wtedy bowiem donośność snopu światła wynosi 4—5 km. Reflektory te muszą być zaopatrzone w dynamy o cichych przekładniach, ażeby umożliwić podsłuchiwanie.

Co do aparatów podsłuchowych, to jest ich kilka typów. Niemcy np. używali aparatów stożkowych, zaopatrzonych w cztery rury (2 określały kierunek, a 2 położenie). Francuzi zaś używali aparatów podsłuchowych w kształcie paraboloid o średnicy do 3 m. Działanie takich aparatów sięgało do 7 km. Zasadniczą jednak wadą wszystkich tych aparatów jest niemożliwość usunięcia szmerów postronnych. Anglicy ukształtowali wyżej wspomniane współdziałanie w ten sposób, że z chwilą, gdy reflektory odkryły płatowiec wroga, artylerja przeciwlotnicza, uprzedzona przez raketę lotnika własnego, zaprzestawała ognia, a lotnik nacierał.

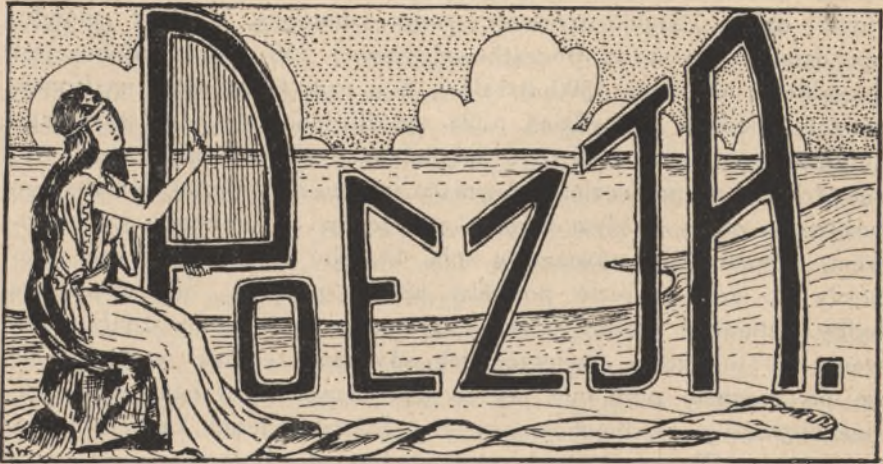
Co do skuteczności ognia artylerji przeciwlotniczej, to z powodu trudności dokonania odpowiednich obliczeń jest ona jak dotąd bardzo małą. Poza to niedokładność wyżej wspomnianych pomiarów powoduje ogromne zużycie amunicji. Przy końcu wojny np. strącenie jednego samolotu wymagało średnio 1500 strzałów, a na początku dochodziła ta liczba do 8000.

Wracając do sprzętu obecnego artylerji przeciwlotniczej, wypada powiedzieć o jego wadach. Głównymi jego wadami są: duży ciężar, stosunkowo mała szybkość początkowa, t. j. szybkość z jaką pocisk opuszcza lufę i niemożliwość użycia tych dział w każdym terenie. Armaty bowiem zmontowane na samochodach, wymagają bądź szos, bądź też dróg, ewentualnie gruntu twardego. Ideałem przyszłej artylerji przeciwlotniczej byłoby działo lekkie, szybkostrzelne, strzelające pociskiem ciężkim o wielkiej szybkości początkowej. Skonstruowanie jednak takiego działa leży dotąd w błędnem kole, ponieważ ze wzro-

stem szybkości początkowej i wagi pocisku wzrasta odpowiednio ciężar dział. Szybkostrzelność znów zmniejsza trwałość sprzętu, np. dział o szybkości początkowej równej 750 m/sek. zdolne jest do oddania maximum 1500 strzałów, t. j. przy żywej akcji na froncie starczy zaledwie na tydzień. Dla umożliwienia strzelania szybkiego i dokładnego, łożo musi być nieruchome. Działo takie musi być zmontowane na podwoziu, zapewniającem mu możność jaknajszybszego posuwania się w każdym terenie, a więc np. na podwoziu gąsienicowym, zaopatrzonem również w koła, któreby się automatycznie podnosiły do góry w razie potrzeby użycia gąsienic. Siłą pociągową byłby naturalnie motor. Takie urządzenie umożliwiłoby działu posuwanie się w terenie pociętym, jak również szybkość w posuwaniu się po drogach, podobnie jak to jest urządzone w haubicy francuskiej, towarzyszącej piechocie, systemu Saint-Chamond, kaliber 75 mm. wz. 1924 r. Dla przewożenia amunicji trzeba było zbudować odpowiednio opancerzone jaszczki, na podobnych podwoziach, zaopatrzone we własny motor.

Na zakończenie trzeba powiedzieć, że kwestja artylerji przeciwlotniczej jest szczególnie dla nas niezmiernie ważną. Sąsiadując bowiem z dwoma naszymi największymi wrogami nigdy nie możemy być pewni niezależności i bezpieczeństwa kraju, o ile nie będziemy w każdej chwili gotowymi do odparcia wrogiego najazdu. A wiemy, że w wojnie przyszłej główną rolę odegra lotnictwo. Zwalczenie jego będzie już połową zwycięstwa. Niebezpieczeństwo od wschodu wisi nad nami. Sowiety zbroją się i w razie wojny, możemy być tego pewni, będziemy mieli do czynienia z armją liczną, dobrze wyćwiczoną i wyposażoną w liczne lotnictwo, nie tak jak w wojnie poprzedniej, gdzie mieliśmy do czynienia z niekarnymi masami, licho zorganizowanymi i wyposażonymi. Jednym więc z warunków zwycięstwa w wojnie przyszłej będzie dobrze zorganizowana obrona przeciwlotnicza z ziemi, której jednym z głównych środków jest artylerja przeciwlotnicza. Udoskonalenie zaś jej sprzętu i metod strzelania przedstawia ogromne pole do działania. A praca ta jest wdzięczna, bowiem zapewni bezpieczeństwo i wielkość naszej Ojczyźnie.

Kdt. Cieśliński Anatol.



ANIÓŁ PAŃSKI.

*Anioł Pański idzie z gór
 W skrzydłach z labędziowych piór,
 Obwieszczając wszech-ludzkości
 Chwilę szczęścia i cichości
 I spoczynku czas.
 I rozpina skrzydła białe
 Ponad chatki, ponad małe
 I otula wsze stworzenie,
 Lejąc w serce pocieszenie,
 Do snu tuląc nas.*

Kdt. Jeszke.

SŁOŃCE SYPIE.

*Słońce sypie piasek złoty,
 Stroi w blaski sny, tęsknoty,
 Ściele światel barwne wstęgi,
 Jasne plamy, lotne kręgi
 złoconemi skry...*

*Słońce złoto sypie w oczy,
 Raz olśniewa, to znów mroczy
 Smutkiem syci, lub wesele
 Barwą tęczy w duszy ściele
 I osusza łzy...*

*Słońce blaskiem myśli splata,
Radość w sercu łzami brata,
Smutki koi, łzy ociera
I spodłałym sercom zdziera,
Falsz stygnącej krwi...*

*Ale życie to nie złoto,
To nie blaski, co się ploią,
To zszarzałej barwy wstęgi,
Ciągłych trudów — strzęp siermięgi...
Zawiedzione sny...
Kdt. Makowski Eugenjusz.*

PRZYBĄDŹ POEZJO...

*Przybądź poezjo na bystrym pegazie,
Bym duszę moją mógł zakląć w obrazie
Przeszłości milej, przepięknej, kochanej,
W kwiaty młodzieńczych uniesień przybranej...*

*Przybądź! Na oczy słodkie połóż dłonie,
Roztocz wokoło kwiatów cudne wonie,
Wlej nektar boski do zimnego łona,
Niech brzęknie harfa uczuć nastrojona.*

*Niech w dźwięku harfy brzmi młodości nuta
Na złotym krośnie czarownie wysnuta,
Jak kryształ, czysta, subtelna, wyśniona,
Lecz bezpowrotna, daleka, miniona.*

*Niech brzmi i siły krzepi nadwątlone,
Niech myśli zwraca w inną lepszą stronę,
Niechaj łzę w oku zakręci rzewliwą,
Niech przeszłość stawi przedemną szczęśliwą.*

*O! Wtedy zapal w mojem sercu będzie,
Nie stracę wiary, śmiało pójdę wszędzie,
Do walki z twardem stanę przeznaczeniem,
Póki za harfy swej iść będę brzmieniem.*

B. T.

KU SŁAWIE.

*Gdzieś w tajniach duszy wstał mi zew;
Wziął mnie w przemocną władzę.
Spadł jako orzeł z niebnych stref,
Mocy niezłomnej rzucił siew:
„Ku sławie cię prowadzę!”*

*I idę za nim w blaski zórz,
Co sieją światła promienie,
I szukam szczęścia pośród burz,
By do dna spełnić jego kruż,
Na moc, na upojenie.*

*Gdzie mnie zawiedzie, nie wiem sam —
— Kędy nam pójdzie droga?
Czy do ponurych piekieł bram,
Czy w niebo wnijdę z nim, hen, tam,
Gdzieś, do stóp tronu Boga.*

*Już mi nie starczy złudnych mit,
Zlepek, przeżytków dawnych!
Chcę świętą chwałę dojrzyć świt,
Wedrzeć się ponad tłum, na szczyt,
W ślad bohaterów sławnych!*

Kdt. Stefan Werner.

LEŚNICZY KNORR.

(NOWELA).

(Dokończenie).

— Z małemi, mój drogi?

— Zginam się i... — schylił się, w okamgnieniu chwyciwszy na nogę od krzesła, zwałił p. Iwena na ziemię. Rodbaj jednocześnie załatwił się z rotmistrzem. Zanim zdążyli się zorientować, leżeli powiązani, po chamsku gnieceni kolanami i bici po twarzy. Stek obelżywych słów posypał się na głowy nieszczęśliwych więźniów. — Ha! panki, popalisia! Teraz pogadamy. Coś, stary myślał, że Waśka Szarpow durak, przewąchał, czego wy przyjechali. A ty oficeriszka! — kopnął nogą leżącego Woronieckiego. Trzeba było nie przyjeżdżać! skórę zedrzymy!

Niemy Rodbaj przemówił, charkocząc z żydowska, wykształcił obelżywe słowa i śmiał się do rozpuku.

— Wasia, ty młodziec, dobrze ich urządziłeś.

Knorr ująwszy się w boki, chwiał się w biodrach, tocząc triumfującym wzrokiem po jeńcach.

— Zapomniał sowsiem, rzekł, Wielmożny Graf pozwoli przedstawić: „Politkom” Rachlis, wskazał na Rodbaja, a ja Wasia Szarpow. Ho! flota czarnomorska zna mnie, urodziłem się przecież w Sewastopolu. Wszędzie byłem, dużo widziałem dlatego widziałem, jak was ustroit'. Zrozumiano? — Zaśmiał się. Szkoda, żeście wcześniej nie przyjechali, było tutaj więcej towarzyszków. A szkoda, żal, trochę zawczasie odjechali. No bratucha! trzeba pójść przespać się, o 6-ej nasz oddział przejdzie granicę; pohulamy w Bereźnie, a potem zabierzemy panków. Tam zagranicą będziemy mieli czas swobodniej, pogadać po swojemu. Cha! cha! A to ich ustroił!

— No spij pan Graf i nie próbój ucieczki. Pojmajem.

Wyszli do przyległego pokoju, a za kilka chwil potężny chrap oznajmił, iż krwawy ex-marynarz utonął w objęciach Morfeusza, Więźniom tysiączne plany ucieczki zaświtały w głowie, jak ongiś p. Zagłobie w podobnych warunkach i okolicznościach. Niestety. Nie do urzeczywistnienia. — Nie jestem tchórzem, a jednak być w takich rękach można osiwieć, myślał Woroniecki, tymczasem cały swój niepokój i złość wylewając na p. Iwenia. — No źle nasze akcje stoją, zwłaszcza moja, to gorzej, niż kula w łeb. I winna temu ta niesłychana łatwowierność, zjawił się taki drań, znalazł u Wujka zupełne zaufanie, puszczał bibulę, agitował, organizował dywersje, bo siedział jak u Pana Boga za piecem ufny, iż mu nic nie zrobią. W leśniczówce zbierała się szajka, radzili, pili. Sam wujek przecież widział. A teraz skutek: napad bandy na Bereźno. Przeszkodzić temu nie możemy, swoich kości cało nie wyniesiemy. W głowie kłębi mi się cały labirynt planów. Czego wujek milczy. — Pan Iwen nie odpowiadał, sapał tylko głośno, jak stary rozklekotany samowar. Czy strach mu odebrał nagle mowę, a może przeżuwał gorzkie myśli.

— Ee! zanadto wujek przegrany, niema co mówić.

Z alkowy dolatywało głośne chrapanie. — Brr! przyjemne sąsiedztwo; ale przecież bywałem w gorszych opalach. Ale wszystko mi odebrali, nawet chustkę, i po chamsku związali, kości bołą. Przewrócił się na bok i zwolna rozglądał się po pokoju. Dogasający żar na grubie rzucał świetlne refleksy na ubite klepisko podłogi, reszta tonęła w mroku. Rotmistrz wyteżył wzrok. — Jakiś przedmiot błysnął pod wywróconym krzesłem. Zatajając oddech, podpełznął. Cóż to? Ogniuwo, drogie melchjorowe ogniuwo. Napewno wypadło podczas szamotania się. Zmacał jego ostre brzegi. — Ha! spróbujemy — i zaczął piłować sznur. Był on niezbyt gruby.

Mijały minuty, które zdawały się wiekami.

Odetchnął pełną piersią, ręce były wolne, w jednej chwili zwolnił nogi, przeciągnął zdętwiałe członki. Na palcach podszedł do p. Iwena uwolnił go z więzów. Ten oczom nie wierzył.

Bolku! myślałem, że to oni mój drogi! Teraz pokażę co umiem chodzić!

— Na miłość boską wujku, ciszej, obudzą się i po nas. Cicho weszli do alkowy. Przez małe okienko księżyc zaglądał do środka, oświetlając wnętrze. — Wypogodziło się na naszą korzyść, pomyślał Woroniecki. W kącie na stołku leżał cały przygodny arsenał bandytów. Rotmistrz chwycił wspaniałą inkrustowaną srebrem kaukaską szablę, do drugiej ręki karabin. Tymczasem pan Iwen nie próżnował, uzbroił się w co tylko mógł. Woroniecki pociągnął go za rękaw.

— Chodźmy.

— Poczekaj, poczekaj mój drogi, jeszcze tę parę gruszek, szeptał, wsadzając z pośpiechem do kieszeni parę granatów. Podstąpili do łóżka. Bandyci spali snem kamiennym. Nie przeczuwali! Potężnym kopnięciem nogi obudził rotmistrz leżącego z brzegu.

Szarpow (był to on) zerwał się, przecierając pięściami zaspane oczy, patrzył zdziwiony. Nie rozumiał. Rachlis podnosząc głowę, wymamrotał przez sen: Co już czas towarzyszu?

Szarpow milczał. Pod lufą wycelowaną na nich dali się związać, jak baranki. Wyszli na dwór. Księżyc uśmiechał się pełną czerwoną twarzą, jakgdyby drwił z położenia bandytów. Odnaleźli konie powiązane do plotu, wsiadli, ruszyli. Więźniowe przytroczeni do siodła postępowali milcząc. — No i cóż panowie tak nagle rezon stracili? — zapytał Woroniecki. — Cóż pan nie odpowiada. Herkulesie i kacie z portowych spelunek? Milczenie. Przyciszone rosyjskie przekleństwo.

— Musimy spieszyć, panowie pozwolą. — Przeszli w wolnego kłusa. — Jechali z pół godziny w milczeniu, słychać było tylko sapanie jeńców biegnących przy koniach.

— O! mój drogi! poznaję już drogę, jeszcze z kilometr i Suszki. — Wyjechano z lasu, przed nimi leżała w dolinie wieś, na górze zabudowania dworskie. We wsi wszystko spało, czasami zaszczekał pies, rzuciwszy się pod nogi koniom, z obór dolatywał ryk budzącego się bydła. — Za godzinę zaczniesz świtać, pomyślał rotmistrz — byleby zdążyć. Otóż dziedziniec folwarczny, ze stajni wybiegł parobek z latarnią. Zdziwiony stał i patrzył. — Weźno tych drabów, wsadź do wozowni, a postaw paru chłopaków, żeby nie uciekli, — wydawał rozkazy p. Iwen.

— Bolku! mój drogi, śpiesz się, za kwadrans pięta.

Woroniecki już był przy aparacie.

— Hallo! Berežno! — odpowiadają, chwala Bogu, druty całe. Strażnica K. O. P.? Napad dywersyjny o 6-j rano. Prawdopodobne przejście pomiędzy słupem 21576—7. Tak. Dziękuję.

W trzy kwadranse potem szły szwadrony rozwiniętym szykiem ku granicy. — Dostrzegli szarą masę. Zaszczekotały wściekle „cekaemy”. Ruszyli ławą.

Strzały, jęki, trzask i kwik koni. Cisza. Walka trwała niedługo. Banda została zlikwidowana.

O godzinie 10-iej przed południem w swoim gabinecie starosta ścisnął ręce Woronieckiego i Iwena.

— Wam panowie Berežno dużo zawdzięcza, życie, mienie, wszystko.

— Ależ panie starosto, mój drogi, to nie ja, dalibóg, to Bolek! — Pan Iwen miał minę dziwnie wzruszoną, a zarazem śmieszoną. Starosta jeszcze raz uścisnął rękę Woronieckiego.

W tym czasie pani Apolonja Woroniecka w ustroniu cichej wiejskiej kaplicy żarliwie dziękowała Najwyższemu za ocalenie cudowne męża i wuja. A skromne melchjorowe ogniwo zawisło jako votum przed obrazem Najświętszej Panny.

O tej samej godzinie w 2 tygodnie potem na mocy wyroku sądu doraźnego leśniczy Knorr i Rodbaj stali przed łufami plutonu żołnierzy.

Padła komenda: — Ładuj broń! — Szczęknęły sucho repetowane zamki...

Kdt. H. Zarudski.

PRO PATRIA.

(NOWELA).

Zimny wicher północny wygwizdywał swoje szaleńcze melodje. wznosił tumany śniegu, zginał ku ziemi wierzchołki drzew.

Świat cały spowity był w lotny całun śniegowy, jak w opończę śmiertelną. W mroźnym i dalekim Toronto, dokąd zanosły mnie losy, huragany zimowe nie należały do rzadkości.

Siedziałem teraz z nogami szczelnie owiniętymi w futro, starając się zlać z nikłą atmosferę ciepła, którą roztaczał wokół siebie pogięty piecyk żelazny. Rozmyślałem.

Jak w kalejdoskopie przesuwały mi się przed oczyma wypadki, poprzedzające przybycie moje do tego ubogiego kanadyjskiego miasteczka. Zajęła mnie myśl, czy przedemną był tu jakiś Polak? Czy może odczuwał całą nadwrażliwością wygnańczej duszy obcość tego

krajobrazu i tych ludzi, wśród których od kilku dni przebywałem? Może odnajdę tu pamięć jakiegoś tułacza, rycerza bez ziemi i bez imienia?

.....

Kilka dni później, mając jakąś sprawę do załatwienia, znalazłem się na plebanji miejscowego pastora. Nic już nie pamiętałem z moich rozmyślań. gdyż gorączka walki o byt wykluczyła sentymentalne dumania.

Przyjął mnie miły staruszek z twarzą ascetyczną, zatopiony, zda się zupełnie w Bogu i zasłuchany w szepty własnej duszy. Szybko wyluszczyłem mu cel i powód mego przybycia, prosząc o udzielenie informacji. W pewnej chwili starzec zapytał: Pan jest Polakiem, nieprawdaż?

Tak—odpowiedziałem zadziwiony nieco tem zapytaniem. Po twarzy pastora przemknął cień smutku; rozlał się wyraz łagodnego współczucia.

Jeśli tak, — podjął, to mam możliwość wypełnienia obowiązku, jaki włożył na mnie rodak pański, który zmarł tu przed kilku laty.

Opłynęła mnie fala wzruszenia.

Tu... na obczyźnie... rodak, Połak! O Boże!

Spojrzałem wymownie w oczy starca.

— Jeśli mógłbym panu służyć szczegółami o jednym tutaj przed panem Polaku, to zrobię to z całego serca, gdyż považam bardzo ten rycerski naród — ciągnął dalej zacny staruszek.

W chwilę później zśliśmy ku cmentarzowi; przekopując się z trudem przez głębokie zasyпы śnieżne. Po długim błędzeniu między grobami, które zima ustroiła w śniegowe szaty, stanęliśmy przed skromną mogiłą.

Zdawało mi się, że przestępuję próg świętego sanktuarjum przeszłości, uświęconego bólem i cierpieniem. Bo podświadomie czułem, że tam u nóg moich leżą prochy bohatera, który śni swój sen nieprzespany o sławie. Kości Polaka na obczyźnie tylko szczątkami bohatera być mogą.

Pastor milczał, przeczuwając pewnie stan mojej duszy. Zgiąłem kolano i począłem odgarniać śnieg z ubożuchnej mogiłki.

Palce moje natrafiły na jakąś blachę. Ostrożnie, pieczołowicie począłem ją ogarniać ze skorupy lodowej.

Odgadłem raczej, niż odczytałem wyrazy:

WŁADYSŁAW KONARSKI

† 1913

Ileż mąk i cierpień zawiera to imię?

Jaka gehena tęsknot, walk i bólów targała sercem tego człowieka?

.....

— Ponieważ jest pan pierwszym Polakiem, który zainteresował się zmarłym, w myśl jego ostatniej woli doręczam panu tę szkatułkę — mówił pastor dając mi skrzynkę z ciężkiego drzewa, bogato inkrustowaną.

— A to klucz do niej — dodał.

(D. n.)

Kdt. Stefan Werner.

MÓJ SEN.

Spytajmy się lekarza, jak poprawić zdrowie, a odpowie, że trzeba dużo spać. I ma rację! bo niema nic lepszego nad sen. Wszyscy wiedzą, że jeżeli ktoś śpi, to musi koniecznie śnić. Wyjątek stanowią starzy kawalerowie, bo ci są pozbawieni wszelkich przyjemności. A jeżeli śnią, to o kanarkach, pudlach lub antykach, jak zegarki lub stare buty jakiegoś męża stanu w starożytności. Ponieważ nie jestem starym kawalerem, tylko kadetem, więc jasne jest, że często mam sny i to różne, dobre i złe. Otóż według mojej praktyki, złych snów można unikać, jeżeli przed spaniem zrobi się kilka przysiadów, umyje się ręce i t. d. Nie wolno przytem myć zębów, boby wszystko przepadło. Potem w łóżku, trzeba równocześnie zamknąć oczy, nie można przytem oddychać ustami. Jeżeli ktoś ma taki zwyczaj, niech weźmie wodę w usta i co pięć minut zmienia ją przez całą noc, a będzie spał spokojnie. Po takich przygotowaniach na pewno przyśni mu się jakaś ciotka amerykańska z kupą dolarów. Jednak niema reguł bez wyjątków, przekonałem się sam. Pewnego wieczoru, spodziewałem się przepysznego snu, np.: Wyrwany na lekcji języka obcego odpowiadam na piąt..., e nie, to nawet we śnie niemożliwe! Lecz cóż to, widzę coś. „Ławki, trójmiany, mapy, logarytmy i tablice tworzą jakiś chaos; wszystko to wiruje, przeplata się. Ze strachu nie wiem, gdzie się schować“. — Na szczęście wszystko znika. Odetchnąłem. Nowy sen. Fortuna uśmiecha się do mnie.

Wielkanoc! Święta! — Co za rozkosz!

Widzę święcone. Jajka, szynki, kiełbasy, kartofle smażone i t. p. rzeczy, o których kadet w korpusie może tylko marzyć. Były i napoje. Woda sodowa z cytrynowym sokiem, piwo okocimskie, bawarskie, a nawet napój wyskokowy. Wiem na pewno, że piwa okocimskie i bawarskie wyrabiają w Okocimiu i Bawarii, ale napoje wyskokowe? Napróżno łamałem sobie głowę, szukając miasta Wyskok. Trudno, z geografji nigdy dobrego stopnia nie miałem. Niedługo to trwało, zmąciło się wszystko, jak herbata kadecka. Zaczęło się coś nowego. Senne widziadło. — Śmigus! Zdawałem sobie jasno sprawę z tego i postanowiłem odpowiednio zaopatrzyć się. Z kąta wyciągnąłem jakąś

butelkę niewiadomego pochodzenia. Była ona dość niewielka, pękata, jak powojenny paskarz. Z przodu miała tarczę z tajemniczymi inicjałami I. J. B. Długo myślałem, nie mogłem jednak odgadnąć. Jeden z kolegów przyszedł mi z pomocą i sądził, że są to imiona trzech króli. Nie byłem jednak dostatecznie pewny, więc przystąpiłem do dzieła. Nalałem trzy czwarte flaszki wodą, dodałem kilka kropelek wody kolońskiej, następnie jeszcze kilka lasek cynamonu i gwoździków. Zapach był prześliczny. Po tych przygotowaniach pewnym krokiem wyruszyłem do miasta. Źle mi się wiodło, bo ledwo zrobiłem kilka kroków, aż z któregoś balkonu kaskadami spada woda na kark. Żeby przynajmniej była wonna, ale tego nie mogłem stwierdzić. Nie straciłem jednak rezonu i wycofałem się ostrożnie. Cały odwrót robiłem według objaśnień instruktorów korpusowych i jestem pewny, że byliby zadowoleni, bo jeszcze żaden z kadetów tak się nie spisał. W prawdzie niektórzy się chwala, że na przeszkoleniu takie „mokre” przygody spotykały ich często, lecz proszę im nie wierzyć. Bo ostatecznie spanie w dziurawym namiocie podczas deszczu i chodzenie w błocie po kolana, to nic strasznego, szło im to tylko na zdrowie. Często ich widzę, jak teraz tańczą mazurka, aż ziemia drży. I to w tak ciężkich czasach, kiedy pełno mamy kłopotów, jak stagnacja, waloryzacja, stabilizacja, kanalizacja i wreszcie u nas kolacja! Wszystko ma swój koniec, więc też sen mój się skończył. Obrazy zacierały się, a z tego tworzyło się coś nowego. Jakaś izba.

„Aha — poznaję“! to redakcja „Kadeta“. Przy ścianach „stylowe“ szafy, pełne różnych dzieł: Na środku ogromny stół otoczony krzesłami. Redaktor próbuje, czy lepiej siedzieć na krześle o trzech nogach, czy o czterech. Tych pierwszych jest w redakcji więcej. Po wojnie światowej inwalidów jest wszędzie pełno. Mam jednak duże podejrzenia, że to redaktor łamie nogi krzesel na głowach współpracowników. Najwięcej przeraża mię kosz, szczególnie ulubiony przez administratora. Często widziałem, jak z rozkazu redaktora — darł z rozkoszą arcydzieła. Landru i inni zbrodniarze z pewnością lepiej obchodzili się ze swymi ofiarami. Lecz cóż to!!!?

Ja byłbym redaktorem?! Nie! to za straszne! Więc ja mam codziennie buty zdejmować by na palcach rachować ilość artykułów? Więc mam być pozbawionym swojej ozdoby, włosów wyrrywanych z rozpaczny nad jakimś poematem, lub tem podobnem dziełem? Nie! łysym mogę później zostać! Stanowczo nie jestem do tego zdolny. Wolę się powiesić, zjeść trzy porcje kapuśniaku, a w ostatecznym razie zastrzelić się. Wolę wykonywać najcięższe roboty, zostać tragarzem, kamieniarzem, literatem lub szewcem, ale redaktorem nie. Czyn łącząc ze słowem, zdejmuję pas, zakładam na szyję i przywiązuję

do klamki. Zaczynam się dusić, mdło mi się robi i... Klamka nie wytrzymała, spadam...

Budzę się koło łóżka na ziemi. Boki mam stłuczone, ale dziękuję Stwórcy, że wyratował mię z tyłu opresyj. *Z. Wróblewski.*

ROBIENIE HUMORU.

Do stu djabłów humoru! humoru! Przecież zawsze nie może „Kadet“ występować w takiej szacie pogrzebowej. Trzeba dać coś żywego, jasnego, coś, coby rozdarło smętną oponę i wyciągnęło usta czytelnika w rozkoszną linię uśmiechu! Panowie stop! Z truposzami trzeba już raz zerwać! Niech się nikt nie waży pisać o trupach! Trzeba już raz z tem zerwać! Bo jeśli mi kto napisze jaki dramat, gdzie pada pół setki trupa, to jak szanuję siebie i was, podreę w kawalki, spalę, zniszczę.

Trzeba powtarzam, raz skończyć z tragedją. Lepiej przejąć się Dickensem, Milfordem i rzucać naokół śmiejące się słowa. Zacznijmy my! Dajmy przykład innym, bo do licha..... No dobrze, więc zacznijmy! Weźmy się razem do pracy! Ty powiesz coś! Ty coś! Ty! Ty! I będzie humor! Będzie kawał! Ha, wreszcie się zaczniesz! No zaczynajmy! Chodźmy! Gdzie? Do redakcji! Dobrze! Chodźmy. Siadać! Ołówek, papier! Zaczynamy. No o czem pisać? O życiu w Korpusie!... O ćwiczeniach! Przecież to jest życie Korpusu, co masz więcej? Ćwiczenia i nauka. Cicho! No więc o czem piszemy. „O czem się mówi w Korpusie”. Doskonale! Świetnie! Tu będzie można wszystko poruszyć, wszystko wpleść. Więc zaczynamy! Pisz! Życie nasze jest szare, bezbarwne, pozbawione wszelkich powabów, jest to.... Wiecie co? Lepiej napiszmy o życiu wogóle! A no słuchamy! Może i to być. Więc pisz! No a z tem? Przekreśl! Dyktuj! Życie! Co to jest życie? Aby na to pytanie odpowiedzieć, trzeba długo się zastanawiać, myśleć. Po długich rozmyślaniach dochodzi się do wniosku, że życie jest to ciągła walka z przeciwnościami, w której często człowiek może być zdeptany po głowie i po twarzy, wtedy..... A dajże spokój! To będzie humor? No i co w tem śmiesznego, że ktoś kogoś depce po twarzy i głowie. A zresztą mielibyśmy pisać na temat „O czem się mówi”. Więc piszmy, albo rozejdźmy się! No więc piszmy „o czem się mówi”. No już cisza! No ale mówcie coś! No co, nikt nie wie o czem się mówi w korpusie? Nikt? Wiemy, wiemy! Ale jak tu napisać? Może tak? Śniło mi się.... A dajże spokój ze snami, co ci mogło się przyśnić? Ciotka stara, umierająca w Ameryce? E tam ze snami! Sen mara, Bóg wiara! No więc może lepiej tak! Ktoś chodzi po korpusie, wszystko

słyszy, wszystko widzi i opowiada wszystko. Dobrze! Ale kto ma chodzić po korpusie! Proponuję Anhellego! Nie! to będzie plagatorstwo! Nie! Za dużo ten biedny młodzieniec wywłóczył się po korpusie. Zostawcie go!

Trzeba dać jakąś postać, która jeszcze nie chodziła po korpusie! Kogóżby z tych włóczęgów? Dante... Hiacynt... Olizar... Ossendowski... Odysseusz... Odysseusz! Odysseusz! Co tam Odysseusz! Czy taki zna się na naszych sprawach? O Penelopie mógłby coś powiedzieć, o Cyklopie także, ale o życiu naszym? Co on wie! W takim razie Dante! No więc piszemy wierszem!? Prawda! Dante pisał wierszem! A więc Ossendowski. Ślicznie, korpus i Afryka, małpy i wychowankowie korpusu! Przecież on nie wie nawet, czy jakiś tam drugi korpus istnieje. Gdybyś pisał o Ramzesie, o Tutankhamenie, o gorylach szympankach, no to jeszcze by ci coś powiedział, ale o korpusie... Też dobry pomysł!

No dobrze, w takim razie ten Hiacynt jak tam! Olizar! Olizar Hiacynt, któż wysunął jego kandydaturę. No prędzej mówcie. Bo ze skruchą muszę przyznać, że nie słyszałem o nim. No, kto coś może o nim powiedzieć? Bo przecież musimy pisać jego stylem! No, nikt? Nikt? Kto wysunął jego kandydaturę, niech coś powie o nim. No mówcie! Ja! Ale wiecie co? Ja też nie wiem o nim. Powiedziałem, bo myślałem, że Hiacynt będzie pasował do korpusu. Ja proponuję, bo ja myślę, że będzie najlepszy Mickiewicz. Mickiewicz? Oszałał. Przecież to płacz! płacz! Nie przerywaj! Ja myślę, że najlepiej będzie tak. Mickiewicz dostawszy ostatni numer „Kadeta”... Zaczął przewracać się w grobie... Nie przerywaj! Przeczytał go, a zaciekawiony życiem pięknych młodzieńców, postanowił bliżej poznać i dać im wskazówki. Dlatego też przywędrował nad Narew... Tu zobaczył... Ciebie i czempredzej zawrócił do swego chłodnego legowiska. Cicho bądź, bo cię zaskrzynię. Ale co tu cicho! Co? Ja nie mogę słuchać, jak kto plecie takie androny! Mickiewicz gotów jeszcze się zbudzić, napisze resztę „Dziadów” i będziesz musiał kuć. Nie wywołuj wilka z lasu. Lepiej już napisać, tak, ni to, ni owo, czyli zwracanie gitary. Tak pleść, aby pleść. To już lepiej tak, coś w rodzaju „Dumania pod choinką” Makuszyńskiego. A no spróbuj, może ci się uda, wal. E, to za trudne! Nie mogę zacząć! No a może ty co wymyśliłeś. No mów! Siedzisz jak mumia! Co ty myślisz? Ja? Myślę, że jesteście głupcami z pod najciemniejszej gwiazdy. Godzina już 9,45 nie ma czasu, a chciałem wam powiedzieć parę komplementów! Dobranoc! A to bałwan. Dobranoc! No czego stoisz? Zamknij drzwi z tamtej strony. Do stu par chudych zajęcy panowie! Straciliśmy drogi czas, a humoru nic. Humor! Humor! J. W.

POBUDKA WSTAĆ!

W półśnie rokosznym kadet tonie
 I marzeń złotych snuje nić,
 Wszak miło jest w przyjaciół gronie
 Wśród tylu chrapań słodko śnić.
 Ileż to wtedy w wyobraźni
 Zwiewnych się znów przesuwa mar,
 A w pobudzonej wspomnień jaźni
 Ileż wibruje dawnych par.
 Lecz cóż to? Jednym głośnym krzykiem
 Złocistą marzeń zrywa nić.
 Ach, wszak przenigdy już słowikiem
 Nie może nasz służbowy być. *Kdt. Jeszke.*

ZŁOŚLIWY.

Stara ciotka. — Mam jeden antyk, umieszczę go w muzeum.
 Bratanek. — Więc od kiedy się ciotka wyprowadza?

U WRÓŻKI.

Uczeń: Niech mi pani powie, czy będę czemś w życiu. Dotąd
 łobuzowałem się i nikt mnie nie mógł poskromić.

Wróżka: Będzie pan kadetem! *Swój.*

ZIMNA KREW.

Bandyta spotkawszy w zaułku przechodnia —
 Krzyknął groźnym głosem: Stój! bo dam ognia!
 Lecz napadnięty, zimnej krwi nie tracąc wcale
 Odpowiedział mu grzecznie: dziękuję — nie palę.

PO WYKŁADACH.

Z. — Gadałeś dzisiaj z czego?

X. — Nie.

Z. — A ja słyszałem, że podobno z historii

X. — No, to tylko byłem pytany, ale nie gadałem.

NA LEKCJI.

Profesor: Dlaczego nie napisałeś znowu ćwiczenia?

Kadet: Panie poruczniku, melduję posłusznie, że jestem zwolniony od ćwiczeń przez lekarza.

PECH.

X. — A to dopiero mam dziś pecha!

J. — Co? dostałeś z czego dwóję?

X. — Nie — tylko odważyłem się zwać z wykładu, a tu akurat wykładowca nie przyszedł.

PRYZWYCZAŁ SIĘ.

P.: Co tak obojętnie przyjmujesz wiadomość, że nas przenoszą z Modlina?

M.: Zdażyłem się przyzwyczać, bo słyszę to od czterech lat.
Gil.

„SZABLĄ i PAŁASZEM“

czyli „Z deszczu pod rynnę“

Napisał i narysował kdt. B. Baake.



1. Idź do djabła? — Co? Pobudka?
Nie wystrychniesz mię na dudka.



Bolesław Bawer 1926.

2. Lecz ze służbą sprawa licha
Właż więc brachu do drelichu.

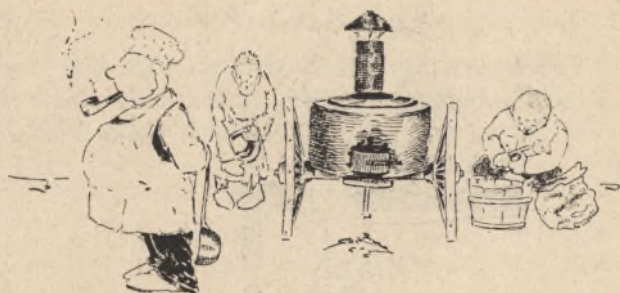


3. Jeszcze ubrać się nie zdoła
Łóżko wsiąkło, pomoc woła.



Bolesław Bawer 1926.

4. A chociaż go niechęć dusi
Biedak ręce umyć musi.



5. Tam przy kuchni widok gódny
Kucharz z brzuszkiem, hucuł głodny.



Illustration by Bauer 1924.

6. Po śniadanie pędzi wyga
Bo wystygnie mamałyga. (D. n.).

PO ZAWODACH SPORTOWYCH.

Ostatnie zawody do których z wielkiem abożeństwem przygotowywał się tłum zawodników, miały dać ogólny pogląd na nasze zainteresowanie się sportem.

Wypadły jednak bardzo miernie. Powody były różne, najważniejsze przytoczę.

Natłok uczestniczących (oj, ci juniorzy!) ograniczył wiele punktów programu zupełnie niesprawiedliwie, kosztem innych gałęzi sportu.

Przecież takie sporty jak: tenis i piłka nożna, są najbardziej popularne między kadetami. Dziwne więc, że nie pozwolono się im popisać.

Wiele innych sportów pominięto pod pretekstem, „że brakło zawodników”. Takim sportem unikany z zabobonną trwogą jest boks. Dlaczego? nie wiem.

W szkołach niemieckich wprowadzono przymusową naukę boksu — u nas możnaby dobrowolną, amatorów nie zbraknie. Boks bowiem nie tylko wyrabia fizycznie, wyrabia także w znacznej mierze odwagę i pewność siebie. Twierdzić, że boks jest zbyt brutalny — to więcej niż nonsens, więcej niż zupełny brak pojęcia o nim.

Przypuszczam, że założywszy kółko bokserskie, możnaby dojść do rezultatów niewiele niższych od rezultatów Szkoły Podchorążych.

A pływanie? Już od dłuższego czasu łudzimy się myślą o własnej pływalni. Może ten nadchodzący sezon będzie ostatnim sezonem łudzenia się. Pływać powinien umieć każdy i to pływać dobrze. Tymczasem pośród nas znajduje się około 40% nie posiadających tej umiejętności.

A teraz co do samych zawodów.

Zawodników było wielu, ale też wielu z nich zdradzało wybitny analfabetyzm sportowy. Śmiech wprost brał na widok pretendenta do mistrzostwa, który w biegu na 5000 mtr. startuje kłęcząc. Opamiętaj się przyjacielu! Startu kłęczącego używa się w biegach krótkich, to jest od 60 mtr. — 400 mtr.

Podobnych przykładów możnaby przytoczyć cały tom.

Nieco jednak było w tem winy Komisji Sędziowskiej. Nie zwracano bowiem uwagi na wykroczenia, które o ile nie należało karać, to przynajmniej nie pozwalać na dalsze powtarzanie ich.

I tak — skok w zwyż najbardziej obiecujący punkt dnia — zakończył się wielkim nieporozumieniem.

Przepisy różne, które obowiązują każdego na boisku mówią wyraźnie:

„W skoku w zwyż, głowa nie może przejść nad poprzeczką przed tułowiem”.

Niedowiarków odsyłam do przepisów P. Z. L. A.

Wielką i krzyczącą niesprawiedliwością było uznanie skoku przez głowę.

Najlepsi skoczkowie zostali wyeliminowani przez akrobatę.

Zawody sportowe to nie przedstawienie w cyрку!

Sztafeta 4 × 100 także omal, omal... Prawda, że silny wiatr nie pozwalał na zawieszenie taśmy, ale można było metę jakoś inaczej oznaczyć, niewprowadzając zawodników w błąd.

Stosunkowo najlepiej wypadły rzuty i skok w dal. Skok o tycze wykazał u zawodników brak treningu.

Tyle co do przeszłych zawodów.

Wraz z nadchodzącym sezonem, budzi się ze snu zimowego ruch sportowy. Szkoda, że przez zimę nie można było się trenować. Prawda, że zaprawa zimowa jest naszym lekkoatletom zupełnie nieznaną. Lecz słońce wzywa na boisko.

Ostatnie zawody były lekcją, która powinna nas wiele nauczyć. Przypuszczamy więc, że na przyszłych zawodach zobaczymy:

1°. Bardziej stanowczych w orzeczeniach sędziów.

2°. Ograniczoną liczbę współzawodników. Zawody eliminacyjne powinny się odbyć na tydzień przez zawodami. Udział juniorów powinien być ściśle ograniczony.

3°. Zupełne wyszkolenie sportowe zawodników.

4°. Prowadzenie nowych, dotąd zaniedbanych sportów.

Boks, tenis, piłka nożna są nie mniej piękne od lekkiej atletyki. Niech więc zdobędą sobie raz prawo obywatelstwa — pozwólmy im wyjść na boisko.

O. K.

Przypisek Redakcji.

Wobec prawdopodobieństwa, że nie wszyscy zgodzą się z poglądem autora, prosimy o wymianę myśli w kwestji tak ważnej, jaką jest sport w korpusie.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

B. S. Radzimy załączyć jeszcze: „pierwsze her, drugie bata, pije mama pije tata” i wysłać do „Mojego pisemka”.

J. M. Za dużo trupów, posłać do prosektorjum.

J. O. Na przyszły raz wybierać lepsze miejsce w pociągu, a nas posłać na konkurs piękności nosów.

J. W. Nowelka dość dobrze napisana ale wątek za słabo rozwinięty. Prosimy o dalszą pracę.

E. G. Zamieścimy w następnym numerze.

„*Samówi*”. Zamieścimy w następnym numerze.

„*Redowi*”. Dobre ale nie zamieścimy.